

Maria Fifagrowicz-Nogowa, *Wspomnienie rodzinne*, w:  
*100 lat Fredreum 1869–1969*, Kraków 1969, s. 29-32

## **Wanda z Hoffmanów Fifagrowiczowa**

Kiedy przeglądam daty przedstawień Fredreum z lat dwudziestych, dochodzę do wniosku, że mnie i mojego brata, mama nasza wydała na świat chyba w antrakcie... Były to lata, w których życie Fredreum rozwijało się bujnie i bogato, a „Wandeczka” nie schodziła z afisza, jaśniejac jako gwiazda pierwszej wielkości.

Tak więc od pierwszych dni wzrastałam w kręgu magii sceny, która otaczała mnie niejako poprzez wzruszenia wyniesione z teatru, gdzie grała moja matka.

Wracała z teatru jakaś inna... czasem w pośpiechu ledwo, ledwo odcharakteryzowana, ale nade wszystko z jakimś odmiennym od codziennego spojrzeniem.

Kiedy dzisiaj po wielu latach usiłuję odtworzyć swoje pierwsze teatralne wrażenia, mimo woli płaczą się i zrastają w całość wspomnienia tego, co widziałam z zasłyszaną legendą, opowiadaniem, z systematycznie i skrzętnie po starych przemyskich czasopismach zbieraną wiedzą o aktorach teatru Fredreum.

I tak na przykład znany mi jest niewątpliwie jedynie z opowiadań początek kariery mamy jako aktorki dramatycznej, a przysięgłabym, że gdzieś tam na widowni siedziałam (w 1912 r.!) na premierze „Wesela”, kiedy się to wszystko wydarzyło. Bo oto grająca już od kilku lat role naiwnych dziewcząt

Wandzia Hoffmannówna, prywatnie znana z nieśmiałości, na dwa dni przed szumnie i dumnie przygotowywaną premierą „Wesela” została przesunięta z roli Isi do roli Marysi. Była to tylko smutna konieczność. Aktorka mająca kreować rolę Marysi zachorowała, pan Umański podsunął więc reżyserowi, znanemu już wówczas Edwardowi Lorenzowi myśl, aby spróbowano sił Wandeczki. Reżyser strapiiony nieoczekiwanymi przeszkodami pochopnie się zgodził i... rwał włosy z głowy, bo na ostatnich już przecież próbach cicha i skromna Wandzia ani rusz przełamać nie mogła wcale niesceniczej kołkowatości. Reżyser rozpaczął, panie grające pozostałe role szalały („raczej odwołać przedstawienie, niż dopuścić do takiej kompromitacji!”) – a najbardziej przerażona i pełna żalu do samej siebie była kandydatka na nową gwiazdę.

„Od początku wiedziałam, że potrafię zagrać tę rolę, ale na próbach byłam bezsilna. Nie mogłam” – opowiada Mama po wielu latach. Tylko Umański był spokojny.

Nadszedł dzień premiery. Reżyser chmurny jak noc dał znak rozpoczęcia przedstawienia. Co będzie, to będzie. Trudno. Przez scenę przesuwają się kolejne pary. Nieuchronnie zbliża się scena Marysi z Widmem. Wandeczka nieprzytomna z trwogi wychodzi na scenę. Reżyser z niechęcią spogląda zza kulis. Padają pierwsze słowa. Strach Wandeczki nagle się ulatnia... już wie, już wszystko wie... jakiś instynkt kieruje jej ruchami, intuicja poddaje brzmienie, barwę głosu, a twarz oddaje wiernie i szczerze każde drgnienie serca poruszonego teraz scenicznym i najprawdziwszym przeżyciem. I po raz pierwszy na

jej głos cichnie sala, jak to się wielokroć razy przy jej grze powtórzy.

Co się działo potem za kulisami, tego opisywać nie potrzeba. Było i całowanie po rękach młodej panienki (bo grać zaczynała jako szesnastolatka – uczennica seminarium) przez samego reżysera i uściski pań opozycjonistek, rozpromienionych, szczęśliwych, że całe przedstawienie udane. Ale bo któżby przypuścił! Ta Wandzia Hoffmannówna, co to zdawało się do trzech zliczyć nie potrafi. Zliczyła. Ponad setkę ról. I dalej liczy mimo dawno już osiągniętej osiemdziesiątki. Umański chodził dumny, a Wandzia grała szczęśliwa, zwłaszcza że na próbach już jej nie dręczono zawierzywszy jej instynktowi, aktorskiej intuicji. Więc się kolejno przemieniała w Księżną Łowicką z „Nocy listopadowej”, Marynię z „Na zawsze” Rydla, Norę Ibsenowską, Salunię z „Horsztyńskiego” i jako młoda zupełnie kobieta zaskoczyła znowu wszystkich wstrząsającą panią Rollisonową. Najchętniej gra do dziś role z wielkiego repertuaru polskiego. Z prawdziwego rozmiłowania się w słowie polskim, które wyniosła z domu matczynego, gdzie w krawieckiej pracowni Emmy z Kretchmannów Hoffmannowej jeszcze za „austriackich czasów” urządzano wieczory poezji Mickiewicza czy Słowackiego.

Ta krawiecka pracownia to jeszcze jedno źródło moich pierwszych pozascenicznych spotkań z teatrem. W niej bowiem powstawały przez wiele lat kostiumy dla pań grających w Fredreum. Pani Emma zaczęła szyc ze srogiego nakazu życia, gdy po śmierci męża została z ośmiorgiem dzieci bez jakiegokolwiek zabezpieczenia. Ale później rozmiłowała się w swoim zawodzie – zaczęła tworzyć istne

arcydzieła sztuki krawieckiej. A cóż dopiero, gdy szła na scenę! Wychodziły z jej pracowitych, nie-strudzonych palców cacka wypieszczone, w których każda falbanka, krezka, koroneczka, często z zagranicy sprowadzana, była z pełną świadomością scenicznego efektu przypięta. Czasem zwykły perkalik za parę groszy, wzrokiem i kolorami do światła scenicznych dobrany, zmieniał się na scenie w kosztowną toaletę, której nie powstydziliby się dama z dworu cesarskiego. A te krynoliny na stalowych obręczach, rozpinające się na lalkach w pracowni! Ten styl niezawodny dawnych sukien wy-czarowywany przez moją babkę!

Wyniosła więc Wandeczka z domu matczynego i umiłowanie słowa polskiego i to coraz rzadziej spotykane wyczucie stylu dawnego. Oprócz wielkich ról dramatycznych grała – niezastąpiona – polskie dziewczęta ze sztuk Fredry, czy też w utworach Bałuckiego. No i śpiewała. Bodaj wcześniej zaczęła śpiewać niż grać. Z wielu operetek, najchętniej wspomina (starzy widzowie również) komedię muzyczną – „Domek trzech dziewcząt”, w której grała Hanię.

Po drugiej wojnie Mama wyglądała niezwykle młodo, choć tyle przeszła w tych latach. Wróciła do dawnych ról, jak Anna Mattee w „Maturze”. Ale gdy w „Domu kobiet” Nałkowskiej nagle z roli babki zrezygnowała p. Budynowa, Mama, która miała grać Joannę, bez chwili wahania przyjęła ciężar roli starej kobiety. I co ważniejsze, pojęła od razu urok nie znanego jej dotychczas genre'u. Pamiętam, kiedy po wojnie grałyśmy razem w „Damach i huza-rach” (w tej sztuce Mama była Zosią, Fruzią, Dyn-dalską) obecny na przedstawieniu dawny przemy-

ślanin, od wielu lat gdzie indziej przebywający, przybiegł za kulisy i wyciągając do mnie ręce zawołał: Wandeczko! Patrzyłam na nie znanego mi pana trochę zmieszana, gdy usłyszałam śmiech Mamy stojącej obok mnie: „To tu jest Wandeczka”. Było w jej głosie rozbawienie, jakby z kapitalnego figła spletanego panu, który sądził, iż czas się zatrzymał. A Mama śmiejąc się dodała: „To moja córka”. Spojrzałam na nią mimo woli. Ani cienia żalu za utraconą młodością sceniczną, z której ją jeszcze wojna okradła. Tylko spokojna i radosna pewność kobiety, która nie w urokliwej młodości dostrzegала wartość kreacji aktorskiej czy postaci scenicznych, ale w możliwościach zgłębienia istoty ludzkiej. Role starych kobiet — tych, które uświadomiły już sobie gorzki, a przedziwny smak przemijania, zaczęły ją odtąd fascynować.

I jeszcze trochę tajemnic warsztatowych. Mama gra zawsze przeżywając. Wierzy w natchnienie, w intuicję. Nie widziałam nigdy, żeby „pracowała” nad rolą, jak inni aktorzy-amatorzy, którzy i mimikę ćwiczą przed lustrem, i próbują gest czy pozę. Pytania takie Mama kwituje krótko: Nie powstrzymałabym śmiechu. Na próbach zazwyczaj markuje ku rozpaczcy reżyserów i współgrających. Grać naprawdę może tylko na przedstawieniu. Jest w tym czystej wody amatorką. Ale gdy noc zapadnie, a jest jakaś rola przed nią – słyszę dochodzący z jej pokoju dźwięczny szept. Powtarzałam tekst – mówi rano. Ale chyba wtedy właśnie – szuka. Szuka we własnej, tylekroć boleśnie doświadczonej duszy niekłamanej ludzkiej prawdy scenicznego postaci.

Kiedy na sześćdziesięciolecie pracy scenicznego Mamy wybrano „Niemców” Kruczkowskiego, powierza-

jąc jej rolę Berty, ogarnęły mnie wątpliwości. Jak Mama, zawsze sercem grająca, po strasznych wojennych doświadczeniach będzie mogła tworzyć postać Niemki – zwolenniczki faszyzmu. Jak wypowiadać będzie słowa, przeciw którym buntować się musi cała jej osobowość. Czy zdobędzie się na aktorstwo, które sztuką czy techniką pozwala tworzyć postaci psychicznie obce? Nie zdobyła się na aktorstwo. Po prostu wzbogaciła Bertę swoim człowieczeństwem. Jej Berta stała się prawdziwym człowiekiem, prawdziwą matką, tym okrutniej uwydatniając jad hitlerowskiej propagandy, paraliżującej mózg. Biedna Berta zmieniała się w tragiczną istotę z bezwładnymi nogami i obezwładnionym umysłem.

A jednak w domu po uroczystościach jubileuszowych tak już bardzo cicho i ze smutkiem powiedziała: „Wiesz, wolałabym grać na swój jubileusz inną rolę”. Nigdy nie sprzeciwiła się decyzji Zarządu. Przez sześćdziesiąt lat nie po amatorsku zdyscyplinowana.